

zwyczajnego. Wynałazłem, co prawda, kilka otworów w ścianie korytarzów, ale były tak wysoko umieszczone, że marzyć nawet nie mogłem o dostaniu się do nich. Podobne one były do tego, w którym codziennie znajdowałem pożywienie. W męczących oczekiwaniach na uchwycenie stosownej chwili do uciezki upłynął cały tydzień.

Czułem znowu powrót ogromnego zniechęcenia. I zapytywałem się z rozpaczą, czy będę zmuszony spędzić w tem więzieniu resztę dni moich, w tej przerażającej ciemności, dającej mi już wrażenie grobu, w którym żywcem pogrzebany zostałem.

Do wszystkich moich zmartwień przybyła jeszcze nowa troska. Nie mogłem bez żalu myśleć o losie dawnych moich towarzyszy, Marsian z lagun, których nie mogłem już teraz bronić.

Na pewien czas przed rozłączeniem się z nimi pozostawiłem im nieocenioną zdobycz — ogień i nauczuwałem, jak się z nim mają obchodzić. Ale prze-czuwałem, że te istoty pierwotne i naiwne zanie-dbać się mogą i rozzuchwalić pozornem bezpieczeń-stwem i wkońcu stać się mogą ofiarami swoich wrogów.

Oczami wyobraźni widziałem ich już, rozdartych pazurami Erlooisów i zjedzonych żywcem przez te krwio-zercze potwory. I myśl o strasznym losie tych dobrych i łagodnych stwo-rzeń rozdzierała mi serce.

Postępowanie Erlooisów względem mnie nie było już dla mnie zagadką.

Odrzuciłem pierwsze przypuszcze-nie, że uchwycili mnie, aby skorzy-stać z rad moich i wiadomości, aby przyswoić sobie wynalazki, którymi obdarzyłem ich przeciwników.

Trzymali mnie poprostu u siebie w roli okupu na przyszłość.

Z przebiegłością im wrodzoną od-gadli szybko, że z chwilą, kiedy mnie tam nie będzie, Marsianie będą na ich łasce, staną się z powrotem uległym i biernym stadem, które pożerali przed moim przybyciem do nich.

Myśląc o tem wszystkim, gniew bezsilny mną wstrząsał, rodził we mnie bunt wściekły przeciw sobie, przeciw wszystkiemu, co stało na mojej dro-dze — i to uczucie w skutkach oka-zało się zbawiennem, bo wyrwało mnie z odrętwienia, w którym się pogrą-żałem. Czyż człowiek, który spełnił tyle trudnych zadań, stać się ma teraz za-bawką w łapach tych potworów? Nie! do tego nie mogłem dopuścić za żadną cenę! Przysiągłem sobie, że albo zwy-cięzę, albo zginę — i nie czekając dłu-żej, zabrałem się gorączkowo do dzieła. Jedną z przeciwności, która powstrzy-mywała mnie dotąd w budowie mo-jego spadochronu, był brak obręczy i pręcików, potrzebnych do podtrzy-mania brzegów materii rozłożonej.

I nagle wpadłem na myśl, że giętkie lniany, z których uwite były ko-szyki dla małych Erlooisów, mogą i mnie posłużyć. Natychmiast pobie-głem zaopatrzyć się w nie, ale z ostro-żności ogołociłem tylko najstarsze, nie-żywane już gniazda.

Zapomniałem nadmienić, że dni po-przednich udało mi się tak dobrze kawałkiem sko-rupy przeciąć sznury mojej siatki, że mogłem swo-bodnie rękami i nogami poruszać. Pozbyłem się rów-nież ciężarów, uwieszonych u dołu, bez zwrócenia uwagi moich dozorców. Zabrałem się do roboty, gdy wieczór zapadł, już po zachodzie słońca. Mia-łem nadzieję załatwić się z tem przed powrotem Erlooisów, którzy udali się na nocną wyprawę.

Ten potwór, który strzegł mnie w początkach mego uwięzienia, również poszedł z towarzyszami, sądząc widocznie, że opieka jego jest już niepotrzebną.

Nadarzała mi się więc doskonała sposobność, którą wyzyskać musiałem.

Na nieszczęście nie posiadałem żadnych narzędzi, oprócz skorup ze ślimaków, a do tego skaleczona przez Erlooisów ręka dokuczała mi bardzo.

Z wielkim trudem zdołałem zfabrykować coś podobnego do prymitywnego parasola bez rączki, z otworem w pośrodku.

Praca ta choć tak prosta, zajęła mi noc całą. Zaczęło już świtać, gdy ukończyłem.

Erlooisys już powracali. Podziemie nappełniło się stopniowo szumem ich skrzydeł miękkich i mdłym zapachem ich ciał, przypominającym duszną atmo-sferą menażery, napętnioną dzikimi zwierzętami.

Musiałem teraz czekać nadejścia dnia.

— Pół godziny upłynęło. Większa część tych po-tworów już powróciła. Teraz przesuwali się koło mnie pojedynczo, ci, którzy się opóźnili, spiesząc gorączkowo do swoich kryjówek, przed nadejściem dnia.

Nareszcie cisza zaległa podziemie, przerywana tylko monotonnym chrapaniem Erlooisów, zapadają-cych codziennie w odrętwienie, trwające do nocy.

Mogłem już rozpocząć moje działanie.

Byłem tak zdenerwowany oczekiwaniem, że nie czekałem nawet na wschód słońca. Powstałem szybko i pospieszyłem do otworu w skale, ciągnąc za sobą mój przyrząd. Byłem zdecydowany na wszystko i nic na świecie nie byłoby mnie powstrzymało od wykonania mojego zamiaru.

Z mojego nadpowietrznego obserwatorium, wi-działem ciemny jeszcze błękit nieba, rozjaśniony tylko wąskim jasnym pasmem, zwiastującym na-dejście dnia.

Świeży powiew szedł od rzeki, szumiącej głośno pod stokiem gór.



! Piętrzył się stos wyschniętych szkieletów tych potworów...

Z rozkoszą wdychałem pełnemi piersiami to wonne krzepiące mnie powietrze.

Chwila stanowcza nadeszła nareszcie! Obejrza-łem raz jeszcze mój spadochron i wypróbowałem siłę wiązadeł; umocowałem go silnie pod ramionami i skoczyłem w przepaść przymykając oczy.

Zdaje mi się, że nie przebyłem nawet jednej czwartej części zawrotnej przestrzeni. Jakiś duży cień przemknął przedemną i uczułem się pochwyc-o-nym i unoszonym w górę, jak gołąb porwany w lo-cie przez jastrzębia. Nieszczęście chciało, że zosta-łem spostrzeżony przez jednego z zapóźnionych Er-looisów, powracającego do legowiska.

Jakże gorzko żałowałem mojej niecierpliwości! Gdybym był poczekał jeszcze godzinę, byłbym ura-towany.

Erloois pochwycił mnie w pół i byłem na pół udu-szonym żelaznym uściskiem jego łap żyłastych.

Wrażenie, jakiego doznałem, było straszne. Wy-czułem, w ciężkich ruchach jego skrzydeł, w przy-spieszonym, chrapliwym oddechu, że ciężar mój jest stanowczo za wielki na jego siły.

Z tą przytomnością umysłu, właściwe ludziom stojącym wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa, obli-

czyłem, że nie potrafi długo mnie tak unosić i może mnie wpuścić do rzeki.

Raz już opuścił się na dół, pociągnięty ciężarem. Na horyzoncie długi, jasny pas światła wzmagął się. W serce moje raz jeszcze wstąpiła nadzieja. Mogłem jeszcze być uratowany. Upadek do rzeki nawet z tej wysokości nie przedstawiał wielkiego niebezpieczeństwa.

Ale potwór wściekły i dyszący zebrał ostatnie siły swoje. Skrzydła jego gwałtownie zabiły w po-wietrzu i rozpaczliwym wysiłkiem podrzucił mnie, obezwładnionego i napół przytomnego na brzeg otworu, z którego skoczyłem.

A chcąc mi widocznie odebrać ostatni błysk na-dziei i ratunku, zaczął pazurami rozdzierać mój biedny przyrząd, który kosztował mnie tyle wysiłków i pracy. Poczem pociągnął mnie brutalnie do wnętrza skle-pienia, wydając pomruki zadowolenia z odniesionego zwycięstwa.

Znalazłem się w tem samym miejscu, w którym byłem uwiązany pierwszego dnia.

Wtedy mój zwycięzca wydał przeciągły, ostry okrzyk, który pobudził całe zastępy Erlooisów!

I znowu setki palących żreńic wpiły się w moją twarz z wyrazem groźby i gniewu. Skrzydła zaszumiały wokół mnie. Ale już nie ciekawość pchała ich do mnie. Dzikie pomruki wybiegały z ich dyszących piersi, a ruchy ich były nie-spokojne i nie wróżące nic dobrego dla mnie.

Popychali mnie, szturchali, przy-kładali pazury do mojej twarzy! Tak jak Indyanin przygwożdżony do deski tortur, oczekiwałem tylko chwili, w któ-rej jak stado dzikich szakali rzucą się na mnie i rozedrą!

W tej to chwili zapadłem w chwi-lowe omdlenie, rodzaj hallucynacji na jawie! Gdy jeden z najdzikszych Er-looisów rzucił się na mnie z wysta-wionymi pazurami, poczułem, że tracę przytomność, ostatnią władzę myśle-nia. Wszystko wokół mnie zaciemniło się. I nagle poczułem się uniesionym na ziemię, do sali, przypominającej ory-ginalną pagodę indyjską i spostrzegłem, jak przez tuman mgły, miss Albertę obok jakiejś osobistości mi nieznanej.

— Ależ do dyabła! — zaśmiał się tryumfalnie Ralf Pitcher — to pewnie tego dnia nasz biedny kapitan Wad wywoływał obraz pana przy pomocy indyjskiego yhoghi Phara Chibba. Za-traciłeś, jak powiadają spirytyści, swoje właściwości materialne, uduchowiłeś się i myśmy cię widzieli, tak jest wi-dzieliśmy ciebie i tego Erloisa, który ci groził.

— Nie roztrząsam tego faktu — szepnął zamyślony Robert Darvel — opowiadał tylko przebieg tej dziwnej chwili. Zresztą stan ten trwał zale-dwie kilka sekund; z piorunującą szyb-kością zdałem sobie sprawę z stra-sznego położenia, w jakim się znaj-dowałem.

W pośrodku tego szatańskiego koła, złożonego z błyszczących przeraźliwie ślepiów i zakrzywionych, ostrych jak noże pazurów — wiedziałem, że zginąć nieodwołal-nie już muszę.

Już teraz nie zadawałniali się groźbami. Kilku z Erlooisów unosiło mnie na kilka stóp w górę i za-bawiało się puszczaniem mnie na stos nagromadzo-nych szkieletów i kości. Inni znowu szczypali mnie, pociągali za włosy, nogi i ręce, tak, jak gdyby chcieli rozedrzeć mnie w kawałki.

Przeżyłem wówczas straszne minuty, i dziwie się dotąd, że pod ich wrażeniem nie oszalałem na miejscu. Wiedziałem, że to dopiero początek mych męczarni. Te dzikie zwierzęta bawiły się mną, jak kot z myszą. Już któreś silniejsze uderzenie pazura rozdarło mi do krwi prawe ramię. Byłem oślepiony krwią płynącą mi z czoła, napół przytomny i pierw-szy raz w życiu wyglądałem śmierci, jak ostatecznego wybawienia.

Już może poraz dziesiąty upadłem na ziemię, ogłuszony uderzeniami, pośród radosnego wycia roz-wścieklonych potworów, gdy nagle oślepiająca jasność zabłysła w końcu głównego korytarza.

Jasności tej towarzyszył hałas niezwykle, odgłos biegnących szybko ludzi i radosne okrzyki.

(Ciąg dalszy nastąpi).